

...Loyalny w stosunku do swoich przyjaciół, popiera ich w dobrym czy to złym... Nie widzi błędów w postępowaniu osób, które kocha, zbyt wierzycie ich słowom lub obietnicom... Jego giętkość psychiczna i umiejętność dostosowania się do warunków życia pozwala mu na zrozumienie i odczucie wewnętrzne wszelkich przejawów życia... Ma wielkie aspiracje życiowe i przeważnie udaje mu się osiągnąć jakiś lepsze stanowisko. Gdy jednakże już wzniesie się wysoko, może się okazać, że właśnie wówczas grozi mu niebezpieczeństwo, a w życiu jego mogą występować zamieszki i przykrości...

...Od wczesnej młodości – zwierzał się Górski dość często – byłem łagodny, spokojny, koleżeński, lubiany. Nie byłem też i taki jestem do dziś – zazdrośny. Jeśli się komuś lepiej wiedzie, to przyjmuję to ze zrozumieniem. Ale jednocześnie jestem uparty! Jak już coś postanowię, to decyzji nie zmieniam. Powiadają, że uchodzę za człowieka, któremu życie układa się po różach. Bez przesady, zresztą róże też mają kolce. Panuje opinia, że jestem optymistą. Nie wiem, czy rzeczywiście urodziłem się optymistą, ale wiem, że optymizmu na pewno nauczył mnie sport. Optymiści podobno mają lepsze życie...

Optymista Górski wzniósł się w piłkarstwie wysoko i... nigdy nie spadł z piedestału. Jednak po Montrealu nie był w najlepszym humorze? Przeczuwał nastanie gorszych dni? Nie. Tylko wciąż nie mógł przeboleć coraz mocniej rozpowszechnianej opinii, „*że srebrny medal olimpijski jest przegraną*”. Publicznie mówił o tym niechętnie, dopiero przed wyjazdem do Grecji, nie bez żalu poruszył ten temat w towarzystwie Aleksandra Kupcewicza i... moim. Był czas letniej kanikuły, żony jeszcze nie powróciły z wywczasów, więc tylko my trzej przez kilka dni zabawialiśmy się w Warszawie. Zmienialiśmy lokale, bo uciekaliśmy przed natrętami...

Zaczęliśmy od „Retmana” na Mariensztacie i „Domu Dziennikarza” na Foksal, a skończyliśmy w SPATiF-ie w Alejach Ujazdowskich, naprzeciwko siedzi-

by PZPN. Kazio tę ulubioną melinę aktorów różnych specjalności nazywał „stółką magistra inżyniera”... Tylko wtajemniczeni wiedzieli, że tam najchętniej biesiadował wiceprezes PZPN, Henryk Loska. Był tam z każdym „za pan brat”, nawet do nestora naszych wokalistów, mistrza Fogga zwracał się „per Mieciu”. Na Mokotowie, a tam już wtedy mieszkał Górski, jeszcze co nieco pomarudziłyśmy w restauracji rybnej przy ulicy Puławskiej i w „Patrii” w Alejach Niepodległości. Rozchodniaczka (bez tego Górski nie rozstawał się z przyjaciółmi) wypiliśmy w domu Kazia przy ulicy Madalińskiego.

– Czy prawdą jest Kaziu – pytał Olek Kupcewicz – że gdy przed Montrealem zapowiedziałeś swoją rezygnację z pracy z reprezentacją, odebrałeś piłkarzom – jak przebąkiwano w Olsztynie – resztki motywacji?

– Bzdura!... To nie jest tłumaczenie dobre dla prawdziwych sportowców... Ale na tej Olimpiadzie po raz kolejny utwierdziłem się w przekonaniu, że o wynikach sportowych decydują nie tylko określone metody szkoleniowe i stopień wytrenowania zawodników... Także ogólna atmosfera, klimat, morale zawodników i samopoczucie trenera. W Montrealu w tej delikatnej materii nie wszystko grało...

– Dopiero tam pomyślałeś o wyjeździe za granicę?...

– Nie, od dawna miałem takie plany... Nic z tego nie wyszło, bo przepisy nie pozwalały! Teraz Rada Ministrów podjęła uchwałę „w sprawie delegowania specjalistów do pracy za granicą na kontrakty indywidualne”... Może wreszcie się uda...

– Więc gdzie się wybierasz? – nie ustępował Kupcewicz.

– Spokojnie, nic się nie pali... W PZPN-ie jest długa lista kandydatów na kontrakty indywidualne i zbiorowe. Ma ją Henio Loska... Chętnych jest sporo... Nie wszystkich znam, ale każdy z nich czuje się na siłach i chce lepiej zarabiać... Pośrednikiem w tych transakcjach jest CHZ Polservice... Stawia warunki.

Wymaga fachowości, znajomości języków obcych, sprawozdań z przebiegu pracy, płacenia podatków i... odpowiedniej postawy moralnej.

– Masz tu niewątpliwie pierwszeństwo – postawiłem sprawę jasno. – Zapewne PZPN poprze twoją kandydaturę...

– Tylko że Związek o tym nie decyduje! Jeśli GKkFiS nie wyrazi zgody, to moje starania i opinia PZPN warte będą funta kłaków! Liczy się tylko głos władzy...

– Słuchaj Olek – tłumaczyłem Kupcewiczowi – Kazio już po mistrzostwach świata 1974 miał propozycje pracy w Zachodnim Berlinie, Szwajcarii, nawet w Kuwejcie mógł nabijać kabzę. I co?... Tylko się oblizał...

– Teraz też mógłbym wyjechać do Arabów, ale – żalił się Górski – jest czas urlopowy... Decydenci na urlopowach, nie ma kto podjąć decyzji. A może ja na ten wyjazd nie zasłużyłem. Tylko srebrny medal w Montrealu...

– Wiem – to znowu ja – że sprawę tego wyjazdu pilotuje Gucio Górecki, twój ziomek ze Lwowa. On też nic nie wskórał?

– Ano, nie!... Poruszył niebo i ziemię, przyjmował szejka z Kuwejtu z honorami i błagał, by jeszcze kilka dni poczekał. Lada moment będzie decyzja. Była... odmowna!

– Kto cię o tym poinformował? – wściekał się Kupcewicz.

Całą akcję Gucia storpedowano w naszym „białym domu”. On mi to opowiedział z detalami. Znowu polityka i partyjne doktrynerstwo wkroczyło na teren sportu... Szejk stracił cierpliwość, także sporo nerwów i... pojechał do Pragi. Tam nie miał kłopotów. Zabrał ze sobą pięciu czeskich trenerów i odleciał nad Zatokę Perską. Zaczynam powoli wątpić, czy rzeczywiście tylko „los tak chciał”... Może jednak wkrótce polecę do Meksyku. W roli wykładowcy... Interesująca propozycja... Decydenci roztaczają też przede mną wizję pracy w Grecji. Czekam... Zmieńmy jednak temat: – Oluś, co tam słyhać u syna, Januszka?

– Będzie nadal grał w Arce Gdynia – wycedził Kupcewicz.

– A dlaczego nie w Górniku Zabrze lub Legii Warszawa? – zdziwił się Górski. – Przecież Arka wciąż balansuje na krawędzi przepaści... Tam się chłopak nie rozwinie!

Kazio nie znał tej sprawy tak dobrze jak ja, przeto z ochotą włączyłem do rozmowy swoje trzy grosze:

– Słyszałem, czytałem i nawet sam o tym pisałem, że o wszystkim zadecydowały sprawy rodzinne. Niestety, również finansowe! Mama Józefa chciała mieć Januszka bliżej domu, a tata Aleksander – nie gniewaj się Olek, że ci to wygarnę – większą kasę za nieoficjalny transfer. Górnik na to nie przystał, a Legię na to nie stać. To wciąż kolos na glinianych nogach... Sekretarz generalny klubu z Łazienkowskiej, Kazimierz Konarski bodajże spod ziemi wygrzebał sto tysięcy złotych, ale to stanowiło zaledwie trzecią część tego, co zaoferowała Arka. Czy tak było? Olek!...

– Niech to pozostanie tajemnicą naszej rodziny...

– To jest zły wybór! – uniósł się Górski. – I nie idzie tu tylko o pieniądze, bo później, gdy chłopak okrzepnie i odpowiednio się rozwinie, mógł by ich zarobić znacznie więcej w klubie i reprezentacji. Tu idzie głównie o piłkarską przyszłość Janusza, doskonalenie umiejętności, o pełne wykorzystanie talentu.

Kazio trafił z argumentacją w „dziesiątkę”. Losy Janusza były mi szczególnie bliskie, rozwinąłem więc temat:

– On, młokos z niecodzienną smykałką, w Arce nie ma wystarczająco dobrych wzorów szkoleniowych. Od kogo ma się tam uczyć? Za wcześnie obarczono go w tym klubie najpierw walką o utrzymanie w ekstraklasie, a potem o powrót do pierwszej ligi. Od ucznia wymagano kwalifikacji i obowiązków profesora. Stanowczo za wcześnie! W Legii, u boku Deyny i Ćmikiewicza mógłby doskonalić swoje umiejętności tak, jak niegdyś Deyna przy Brychczym i Blaucie. Oluś, pozbawiłeś syna tych możliwości...

– A pamiętasz lata sześćdziesiąte i początki kariery moich wychowanków Wilczka i Musiałka, a zaraz potem Szołtysika i Lubańskiego? W towarzystwie Pohla, Jankowskiego, Lentnera i Ośliży wyrosli na wybitnych piłkarzy. Dlaczego o tym nie pomyślałeś? Ach pieniądze, tylko pieniądze!... – spuentował tę drażliwą wymianę zadań Kazimierz Górski. I zaczął nucić popularne niegdyś tango: – *Cóż nam zostało z tych lat?*...

Odebrałem to dwuznacznie. Przypominały te słowa czasy, kiedy Kazio kopał piłkę za uścisk dłoni prezesa Bolesława Drobuta w RKS Lwów, a zaraz po wojnie za wyróżnienie w pułkowym raporcie w jednostce na Podchorążych. Podśpiewywanie to jak ułał, pasowało też do aktualnej sytuacji reprezentacji. Pod wodzą Górskiego lawina sukcesów, teraz pod ręką Gmocha, z trudem wiązanie końca z końcem. Czas szybko upływa i niesie za sobą mnóstwo zmian. Jacek Gmoch i jego podopieczni za chwilę wyruszą do Porto na mecz z Portugalią. Z jakimi szansami?

Tak do końca nikt tego nie wiedział. Ekipa Gmocha dość długo działała w ukryciu, bez oficjalnych spotkań kontrolnych i sparingowych, takich z widownią, kasą i dziennikarzami. Raz tylko w Łodzi, w wygranym meczu z młodzieżówką Rumunii (2:1), nieco uchylono rąbka tajemnicy. Jacka zaskoczyła jednak obecność na trybunach trenera Portugalii, Jose Marii Pedroto. – Kto go o tym poinformował? Usiłował zmylić gościa. Zmieniał skład naszej drużyny, w sposób typowy dla hokeja na lodzie lub gry w koszykówkę. W Łodzi zobaczyliśmy tylko kilku dobrych znajomych z ekipy Górskiego. Zabrakło Tomaszewskiego, Szymanowskiego, Musiała, Maszczyka, Szarmacha i Gadochy. Czy zagrają w Porto?

W Łodzi Gmoch wyraźnie postawił na kwartet z Mielca: Zygmunt Kukła, Krzysztof Rześny, Henryk Kasperczak i Grzegorz Lato. Była w tym konkretna myśl, a nie tylko ukłon pod adresem mistrza Polski i trenera Andrzeja Zientary. Jose Maria Pedroto mógł jednak przewidzieć zamierzenia Jacka. Nasz selekcjoner najbardziej zabiegał o scementowanie zespołu, grę „wszystkimi siłami” z nieco

większym akcentem na ofensywę. Bramki mają strzelać nie tylko napastnicy, także zawodnicy drugiej linii i dobrze wyszkoleni wykonawcy stałych fragmentów gry. Niby nic nowego, ale nacisk większy i niemalże zegarmistrzowska precyzja.

W Porto zagrało tylko pięciu piłkarzy z „żelaznej jedenastki” Górskiego: Żmuda, Kasperczak, Deyna, Lato i Szarmach, z tym – że Kasperczak w parze ze Żmudą korzystnie zaprezentował się w środku obrony. Jego pozycję w pomocy zajął Henryk Maculewicz. Dwie zwycięskie bramki znowu zdobył Grzegorz Lato, król Weltmeisterschaft '74. Dobry początek. Przeciwnik nie był słaby, wiadomo – Portugalia, to synonim błyskotliwej techniki, jednak tym razem pozostawała w cieniu naszej bezbłędnie realizowanej taktyki. Nie było przypadkowości, Polacy imponowali dobrą organizacją i dyscypliną. Spełniali zadania na miarę swoich możliwości i potrzeb drużyny. Czuli się mocni fizycznie i psychicznie. Wyraźnie podkreślił to nowy „libero” zespołu Henryk Kasperczak:

Praca, jaką wykonaliśmy w przygotowaniach do tego meczu, pięknie owocowała. Na zgrupowaniu w Rembertowie oblewały nas zimne i gorące poty, niektórym ciemniało w oczach, ale nikt nie kręcił nosem, nikt nie narzekał. Czasem tylko wspólnie z trenerem Gmochem dowcipkowaliśmy. W Porto padało, deszcz zmoczył boisko, utrudniał grę, wymagał ogromnego wysiłku, ale wszystko to przezwyciężyliśmy. Konsekwencją i determinacją w grze zdecydowanie górowaliśmy nad gospodarzami.

POWRÓT LUBAŃSKIEGO

Jacek tworzył nową drużynę, miał w niej swoich faworytów, ale przed nim, pod warunkiem że był w dobrej formie i akceptował „gmochowskie reguły gry”, nie zamykał drzwi. Włodek Lubański z ochotą przyjął tę ofertę. I stało się, w następnym meczu z Cyprem na Stadionie Dziesięciolecia w Warsza-

wie zagrał, a Polska pokonała południowców z Wyspy Afrodyty aż 5:0. Pierwszy etap przebudowy kadry pod względem: personalnym, moralnym i sposobu gry zakończył się pomyślnie.

Malkontenci jednak podważali te zmiany. Z dzisiejszą Portugalią i maruderem z Cypru nie wypadało przegrać! Odpowiedziałem na to pytaniem: – A czy z Irlandią, Szwajcarią, Grecją, NRD i kilku innymi drużynami wypadało? Jacek Gmoch przejął reprezentację w momencie, w którym każdy nawet najmniejszy błąd organizacyjno- szkoleniowy groził całkowitym zburzeniem wieloletniego dorobku. Przełamał złe nawyki i bariery psychologiczne. Za to właśnie trzeba mu podziękować i życzyć równie owocnej pracy w 1977 roku.

Nowa ekipa szkoleniowa – jak dotychczas – z powodzeniem poszukiwała takiego sposobu gry, który w największym stopniu odpowiadałby możliwościom psychofizycznym Polaków i nie odbiegał od standardów nowoczesności. Wciąż duże rezerwy tkwią w taktyce. Gmoch zamierza to wykorzystać. W Porto zastosował nowy wariant w grze obronnej, natomiast w meczu z Cyprzem teoretycznie skorzystał z usług tylko dwóch obrońców: Maculewicz - Żmuda. W praktyce udanie wspierali ten duet KasperczaK, Masztaler, Boniek i Mazur.

Nietypowe ustawienie naszej drużyny w meczu z Cyprzem zmierzało nie tylko do bezwzględnego powalenia słabszego rywala. Było także krokiem w kierunku wzbogacenia idei współczesnego futbolu, wszechstronności i uniwersalizmu oraz próbą wykorzystania rezerw tkwiących w sferze taktyki i naszych możliwości kadrowych. Nie grał Lato, ale wrócił do reprezentacji Lubański. KasperczaK znowu był w obronie partnerem Żmudy, a Szarmach (!) w pomocy współpracował z Deyną i Bońkiem. Szaleństwo? Wszystko co inne, nowe budzi wątpliwości. Nie przyjąłem tych gmochowskich manewrów bezkrytycznie, ale przyznałem mu prawo do eksperymentowania. Dobrze, że zdobył się na odwagę w meczu z Cyprzem, a nie z Danią. Wtedy było by to już za późno.

W meczu z Cyprzem, oprócz korzystnego wyniku 5:0, zadowolić i wzruszyć musiały dwa inne, jakże ważne wydarzenia. Kazimierz Deyna i Włodzisław Lubański znowu razem! „Kaka” akurat w tym dniu rozegrał swoje 80 spotkanie w reprezentacji, a Włodek wrócił do niej po trzy i półletniej przerwie. Deyna w czasie niezwykle trudnym dla Lubańskiego wyrósł na trzeciego piłkarza na świecie. Miał za sobą Wembley, finały mistrzostw świata w RFN i Olimpiadę w Montrealu. Włodka kontuzjowanego w meczu z Anglią w Chorzowie wszystkie te zaszczyty ominęły. Teraz znowu był z nami.

W środę, na kilka dni przed niedzielnym meczem z Cyprzem (30.10) w imieniu PZPN oficjalnie witałem Lubańskiego na lotnisku Okęcie w Warszawie. Towarzyszyłem też w drodze do hotelu. To bardzo sympatyczne, w roku 1963 w Szczecinie wspólnie z Wiesławem Motoczyńskim i Tadeuszem Forysiem „pasowałem” tego wówczas 16-letniego chłopca na reprezentanta Polski, w 1976 przeżyłem kolejny debiut w drużynie narodowej 29-letniego mężczyzny. Trudno było ukryć wzruszenie. Powrót Włodka do wielkiego futbolu warszawska publiczność przyjęła z entuzjazmem. Młodzież i na lotnisku, i na przedmeczowych treningach, i po wygranej z Cyprzem, z żarem w oczach i sympatią w sercach skandowała: **Lubański, Lubański! Lubański!...** Czy kiedykolwiek w swojej karierze przeżył to na Śląsku Kazimierz Deyna? W Warszawie był uwielbiany.

– Cieszę się – powiedział trener Górski po meczu z Cyprzem – że Kazio ma znowu ochotę do gry. Już dość dawno nie grał tak dobrze. Myślę, że trener Gmoch będzie miał z niego jeszcze spory pożytek. Wiem, że Jacek już poszukuje następców, nie tylko dla Deyny, także dla Kasperczaka, Maszczyka i Ćmińkiewicza. Mnie się to nie udało. Jeden Boniek – to za mało...

Tymczasem szybkimi krokami zbliżało się kolejne Walne Zgromadzenie Sprawozdawczo-Wyborcze PZPN. Przypadło mi w udziale dokonanie wcale nie łatwej oceny mijającej kadencji. Targały człowiekiem mieszane uczucia. Re-

prezentacja była w tym czasie z reguły na wozie, liga pod wozem, młodzież tylko raz stanęła na podium w Turnieju UEFA, baza szkoleniowa nadal przypominała czasy króla Ćwiczka. W sumie jednak uznałem, że to była „**Owocna kadencja, głównie w pracy z reprezentacją**” i sugerowałem, że należy „**UTRZYMAĆ KURS**”.

...Nasz Związek – pisałem w „PN” w przededniu Zjazdu – przeżywał przez 57 lat swej działalności różne wzloty i upadki. Najpierw walczył o piłkarskie zjednoczenie kraju, potem o wejście na arenę międzynarodową, wręcz prawdziwy bój toczył o utworzenie ekstraklasy i po latach okupacji o jej odrodzenie, wreszcie o regularne rozgrywki o Puchar Polski i niższych klas. Nasi działacze niemal zawsze zaskakiwali zręcznymi pomysłami, ale spodziewanych efektów nie było.

Do dziś PZPN nie ma własnego ośrodka szkoleniowego i przez państwowe władze sportowe wciąż uważany jest tylko za „pierwszego wśród równych”. Rubryka „MA” jest równie długa, jak „WINIEN”. Rozbudowano rozgrywki, ale nie potrafiiono przeciwstawić się przeróżnym zjawiskom negatywnym, w tym jawnym przekupstwom. Za dużo przyszło do naszego futbolu karierowiczów, zwykłych handlarzy punktami i spaczoną moralnością, niewiele do powiedzenia w sprawach merytorycznych ma pion szkolenia. A Wydział Sędziowski? Brak tam teraz takich asów, jakimi niegdyś byli: Aleksandrowicz, Bukowski, Fronczyk, Kowal, Mytnik, Majdan i choćby obecny szef arbitrow, Stanisław Eksztajn. Jesteśmy też kopciuszkiem we władzach europejskiego i światowego piłkarstwa.

Gorzkich słów prawdy przekazałem delegatom na Walne Zgromadzenie znacznie więcej i żadne z nich nie pozostały bez echa. Goście Zjazdu: przewodniczący GKKFiT – Bolesław Kapitan i nowy prezes Polskiej Federacji Sportu – Marian Renke też mocno podkreślali, że PZPN – to praktycznie połowa naszego sportu i z tego względu jego wizerunek wpływa na pozostałe dyscypliny. W podtekście wyczułem, że... źle. Ustępujący prezes PZPN, Jan Maj w swoim

wystąpieniu nie bronił Związku i – ku mojemu zadowoleniu – raz po raz cytował moje krytyczne spostrzeżenia i myśli. Niewiele mu to pomogło, raczej zaszkodziło, bo pożegnał się z prezesurą. Nowym szefem PZPN został Edward SZNAJDER, były prezes polskich szermierzy. Pion szkolenia utrzymał Henryk Loska, a funkcję sekretarza generalnego przejął Zygmunt Buhl, niegdyś wybitny lekkoatleta. Przed PZPN stanęły wysokie zadania. Czy ta ekipa im podoła?

– Trudne zadania pasjonują – powiedział w swoim wystąpieniu nowy prezes. – Poparte wiedzą, fachowością i kompetencjami są w stanie nadal rozślać polski futbol w świecie. To najlepszy ambasador. Jednak trzeba przepędzić z naszego środowiska ludzi małego ducha, wszelkiej maści mącicieli, „speców” od omijania przepisów i nie widzącego nic poza czubkiem własnego nosa.

Wkrótce po jednym ze spotkań z prezesami Okręgowych Związków Piłki Nożnej prezes Edward Sznajder podpisał znamienity dla tamtych czasów komunikat:

...„Zarząd PZPN w trosce o dalszy rozwój piłkarstwa zobowiązuje wszystkich zawodników, trenerów i działaczy tej dyscypliny sportu do ścisłej współpracy w realizacji programu Uchwały Biura Politycznego KCPZPR, traktując ją jako podstawowy element naszej działalności. Program ten nabiera szczególnego znaczenia w świetle przygotowań do Igrzysk Olimpijskich 1980 roku”.

Treść i forma tego komunikatu jako żywo przypominały partyjne dyrektywy z lat pięćdziesiątych. Nasz sport nadal był mocno upolityczniony, a PZPN tylko na pokaz samodzielny. Tak głośno zapowiedziana „ściśła współpraca” związku z partią była zwykłym chwytem propagandowym. Bez sukcesu... Nasza reprezentacja przedolimpijskie eliminacje piłkarskie – szpetnie przegrała.

Wróćmy jednak na salę obrad Walnego Zgromadzenia. Tam również dyskutowano w duchu charakterystycznym dla „realnego socjalizmu”. Marian WYSOCKI z Katowic domagał się, by OZPN-om przywrócić osobowość prawną i do-

stosować „KARTE PIŁKARZA” do dzisiejszych warunków, a Henryk CELAK z Warszawy zauważył, że kluby wymknęły się spod kontroli i starają się tworzyć coś na kształt klubów zachodnich. W naszym ustroju jest to rzecz nie do przyjęcia. Poparł go Edmund SITEK z Bydgoszczy grząc, że w socjalistycznym sporcie nie może być mowy o „prawach pieniądza”. Dość przekupstwa i kaperowania!

Zostawiam te wystąpienia, trącające demagogią i księżycową filozofią bez komentarza. Bardziej zasługiwało na uwagę, już tradycyjnie pełne żaru i patosu wystąpienie Kazimierza Bukowskiego z Radomia. Skierował je bezpośrednio do przewodniczącego GKKFiT:

– Bolesławie Kapitanie, generale polskiego sportu, słyszałeś dobrze, co myślimy i mówimy o naszej ukochanej dyscyplinie sportu. Ty też mówisz, że jest najważniejsza, ale przecież wyraźnie przez władzę niedoceniana. Dała ci tyle medali: złote, srebrne, brązowe! A ty generale Kapitanie, co dla niej zrobiłeś? Budujesz sportową Polskę, ale nie piłkarską. Wciąż nie mamy własnego ośrodka szkoleniowego,. Widzisz to i nie grzmisz?!...

Walne Zgromadzenie PZPN 1976 przebiegało w sztywnej atmosferze i nie zawsze szczerzej. Sporo było obłudy. Mówcy prześcigali się już to w nadmiernych pochwałach, już to w śmiertelnie nudnej i nieprzekonującej samokrytyce. Takiej na pokaz! Dopiero Bukowski nieco rozweselił salę. Tak robił zawsze. Często zupełnie zagubieni delegaci pytali z otwartymi gębami: – *Czy już przemawia Bukowski?* Do tej pory zaglądali do kieliszków, teraz porzucali nawet niedojedzoną golonkę lub flaki, nie dopijali kawy, herbaty. Pędzili na salę obrad. Także ja z Motoczyńskim, ukryty w sali bilardowej ówczesnego CRZZ, przerywałem którąś tam z kolei partyjkę w „amerykanke” lub „piramidkę” i pędziłem posłuchać „panabukowskich oracji”. W drodze jeszcze pokrzykiwałem:

– Szybciej panowie! Kończy się oficjalna galówka, nastrój nudnej akademii, a zaczyna się wesoły występ „jednego aktora”.

Mikrofony działały. Już z dala słychać było pogodny głos pana na piłkarskich włościach Radomia. Ożywiał monotonię i smutek, ośmieszał żale na pokaz znacznej części delegatów i od lat te same najczęściej puste deklaracje sportowej władzy. Jak wytrawny satyryk kłuł ostrzem krytyki dowcipnie, nie ukrywał niezadowolenia z wygodnictwa biurokratów z GKKFiT, ganił kierownictwo PZPN za chroniczny brak sukcesów. Dowcipkował też z marzeń o potędze, kontrastujących z nieudolnością w codziennej działalności. Na Sejmiku PZPN w roku 1976 zmienił jednak spojrzenie. Zwracając się przede wszystkim do swojego imiennika Górskiego, z rękami wysoko uniesionymi w górę, niemal ze łzami w oczach, powiedział:

– Dopiero teraz wiem, o co walczyłem przez pół wieku, czego pragnąłem i z czego jestem dumny. Dziękuję ci Kaziu za Wembley, dwie Olimpiady i radość z medalu na mistrzostwach świata. Ale szlag mnie trafia, że dotychczas nie zostałeś odpowiednio uhonorowany. Tyle dobrego zrobiłeś dla polskiego piłkarstwa i co z tego masz?! Słyszałem, tu dziś, w kuluarach tego wysokiego Zgromadzenia, że w poszukiwaniu lepszego chleba wybierasz się do Grecji. Jedź, niech cię Bóg błogosławi, skoro tego nie zrobił nasz generał sportu.

Kazimierz Bukowski nigdy nie przemawiał z kartki. Miał cudowny dar improwizacji, wenę wieszczą, barwne słowo i urokliwy styl twórcy. Jego oratorskie popisy były swoistą klamrą w zupełnie innej tonacji, zamykały nieszczęsne, bojaźliwe wystąpienia większości delegatów. Zaraz po reaktywowaniu PZPN w grudniu 1956 roku równie barwnie i odważnie przemawiał Wacław Zatke z Łodzi. Później jednak wyraźnie dryfował ku konformistom. Bukowski wytknął to przyjacielowi publicznie:

– Wacusiu, byłeś kiedyś wielkim mówcą, lepszym ode mnie, nigdy nie czytałeś z kartki. Tego się od ciebie nauczyłem. A dziś mówisz tak, jakby ci to ktoś napisał i tak kazał referować. Przemawiasz jakbyś się kogoś lub czegoś bał... Dlaczego tak się zmieniłeś? Już nie jesteś sobą! Ja nadal mówię to, co mi nakazuje

sumienie, dusza i serce Polaka, umiłowanie futbolu... Usiłowano mnie za to usunąć w cień, ale się nie poddałem. Jestem!

Kazimierza Górskiego już nie było. Zaraz po serii wykładów w Meksyku, tak – jak zapowiedział Bukowski, odleciał do Grecji. Znowu pracował w klubie i to nie w jakimś podrzędnym, tylko w Panathinaikosie Ateny, niedawnym finalisście Klubowego Pucharu Mistrzów Europy. Będzie go nam brakowało. Na szczęście, zostawił po sobie dobre wspomnienia, wskazał godnego następcę w pracy z reprezentacją, namaścił też wyróżniających się zawodników i szkoleniowców. Piłkarzem Roku 1976 został Henryk Kasperczak, Odkryciami Roku byli Zbigniew Boniek i Stanisław Terlecki, a Trenerem Roku po raz drugi z kolei – Leszek Jezierski.

W obu wypadkach wraz z red. Stefanem Grzegorzczakiem uczestniczyłem w uroczystości wręczenia „Napoleonowi” tego zaszczytnego wyróżnienia. Wielkich gali wtedy jeszcze nie było, ale Bale Piłkarza z naszej inicjatywy – owszem, już się zdarzały. W karnawale 1976 cała sportowa Łódź bawiła się w restauracji „Centrum”, a w 1977 w Łódzkiej Hali Sportowej. I tu i tam było miło i wesoło, towarzystwo znakomite, nie gorsze niż podczas Balu Mistrzów Sportu w stołecznej „Kongresowej”. Tu też nikt za kołnierz nie wylewał. Laureat trzymał jednak fason. Jak przyjął kolejne wyróżnienie?

„Syrenka” dla Najlepszego Trenera Roku... To nieczęsto się zdarza. A jaka konkurencja?! Zientara, Żmuda, Strelau, Gałeczka, Kostka, Hajdas... A jednak szczęście znowu uśmiechnęło się do mnie. Trochę cierpi z tego powodu rodzina, żona Henia i syn Leszek, ale tego nie okazują. Są wyrozumiali i serdeczni. Jednak bez entuzjazmu przyjęli moje przejście z Widzewa do ŁKS.

– Zmieniłeś klub na przekór najbliższym?

– Nie, po prostu wróciłem do ukochanego klubu. Poza tym uznałem, że w Widzewie niewiele już wskóram. Tam za bardzo wszyscy się do siebie przyzwyczailiśmy, aczkolwiek z działaczami nie miałem żadnych kłopotów i sporów.

Każdy robił swoje: Sobolewski, Wroński, Machciński i ja też. A wiem, że w naszym piłkarstwie nie wszędzie przestrzegana jest zasada racjonalnego podziału pracy i reguła „*właściwy człowiek na właściwym miejscu*”. W ŁKS-ie – jak na razie – każdy robi swoje. Chciałbym tu przeżyć takie chwile radości, jak niedawno Michał Matyas i Andrzej Zientara po udanych występach Górnika i Legii w europejskich rozgrywkach pucharowych...

SZOPKA MISTRZA MĘTRAKA

Powoli żegnaliśmy burzliwy w piłkarstwie 1976 rok. Na swój sposób w tygodniku „Piłka Nożna” uczynił to również nasz stały felietonista Krzysztof Mętrak. Nie uważał się za poetę, ale wazkie myśli potrafił też wyrazić w zręcznych rymach. Jego szopka piłkarska mocno poruszyła środowisko. Był jednak w swoich ocenach, krytyce i pochlebstwach sprawiedliwy. Tak wyobrażał sobie reakcję Kazimierza Górskiego na pożegnanie z reprezentacją:

Czas nakręca zegary,
 droga pędzi z nami bez wytchnienia.
 Chciałbym i mój ślad na tej drodze
 ocalić od zapomnienia.
 O dawny czasie, przecudny raj,
 jak cudotwórca zakwitłem w Maju.
 Od razu słońce, a teraz w cień już,
 jam był naturszczyk, a Gmoch – prawie geniusz.
 Co na to Jacek Gmoch?
 Tajemnic, prawdy jestem mag
 i zdrowia życzę wszystkim tak
 aż w piąty pójdzie.

Bo wiecie mnie w horyzont czas
i wierzę w wagę moich lat
i w mój horoskop.

Na swoich wykresach miewam wiedzę super,
że dostanę w kuper mówi mi komputer.

Z teorii prawdopodobieństwa czasem mi wynika,
że nie mam w kadrze gracza ponad kierownika.

Więc dyrektor Górzyński będzie wahadłowym,
moją tajną bronią...

Przeróżne pomysły Jacka Gmocha: organizacyjne, szkoleniowe, kadrowe,
koleżeńskie z rezerwą przyjmował trener Ryszard Kulesza, ale...

Ja – Kulesza – do Gmocha się nie mieszam,
najlepiej jest mi w cieniu,
choć wcale nie jestem leniuch.

Gdy mi ciebie zabraknie,
będę musiał wyjść z cienia.

A w argentyńskim tangu
tak pięknieją marzenia...

Głośne w roku 1976 było przejście Andrzeja Szarmacha z Górnika Zabrze
do Stali Mielec. To również podkreślił Krzysio w swojej szopce:

Woziciele teczek
strapili się bardzo,
żadną za Szarmacha
sumą nie pogardzą.

Dał im przykład Ojciec Chrzestny
jak kupować mają.
Górnik, który wiele

drużyn już rozłupił,
potępił moralnie te nieczne zakusy.
Morał z tej bajeczki
bezwzględny jak miłość,
kiedy jesteś słabszy
ugniesz się przed siłą.
Kiedy jesteś kiepski,
kiedy drzysz w posadach,
czepiasz się przepisów,
prawisz o zasadach.
Szopkę otwierał red. Stefan Grzegorzczak skromnym:
To zaszczyt pokazać się w szopce,
to mądrość – poczucie humoru mieć.
Witam wszystkich od futbolowych szlagierów...
a żegnałem ja, nieskromnym stwierdzeniem:
Żegnać już wszystkich powoli wypada.
Gdy wy będziecie wyrzekać, że pismo jałowe,
ja wam odpowiem tylko: „bo fachowe”.
To, co znawca wie – jest pewne,
więc wyjawię wam
mój plan zdradziecki,
oto rewelacyjny skład reprezentacji:
w bramce – Terlecki
w obronie – Terlecki
pomoc i atak – Terlecki...
Dobrego życzymy wszystkim, co w futbolu,
żeby do nas przyjeżdżali znowu z La Valletty,

żeby chociaż raz odwiedził mistrz Małty, Albanii,
ale w żadnym bądź wypadku
znowu mistrz Hiszpanii.

Żeby wszyscy, co przyjadą, byli pod Gmocha eskortą.

Wtedy Nowy Rok się uda,
stale będzie Porto.

Stary rok 1976, jeśli idzie o stan kadry narodowej, żegnaliśmy w zmien-
nych nastrojach. Z jednej strony wypadało się cieszyć, że wśród 10 najlepszych
piłkarzy (zdaniem dziennikarzy „Piłki Nożnej”) znalazło się aż pięciu medali-
stów olimpijskich lub mistrzostw świata: Henryk Kasperczak, Kazimierz Dey-
na, Władysław Żmuda, Andrzej Szarmach i Grzegorz Lato, zaś z drugiej po-
czuć się nieco zawiedzionym, że z „młodej fali” na tej liście pojawili się tylko
Zbigniew Boniek i Stanisław Terlecki. „Dziesiątkę najlepszych” uzupełniali:
Henryk Maculewicz, Zygmunt Kukła i Bogdan Masztaler. Nie dotrzymali im
kroku Jan Tomaszewski, Jerzy Gorgoń, Antoni Szymanowski, Lesław Ćmiekie-
wicz, Janusz Kupcewicz i Zygmunt Maszczyk – najlepszy w 1975 roku. Win-
ni byli sobie sami...

Przygotowania do nowego sezonu 1977, w którym – oprócz gier towarzy-
skich – oczekiwały „biało-czerwonych” rewanżowe mecze z Portugalią i Cyprzem
oraz dwa bardzo trudne mecze z Danią, rozpoczęto już w styczniu, a dokład-
nie pierwszego lutego kadra wyruszyła na zgrupowanie do Jugosławii, konkret-
nie w okolice Splitu w Chorwacji. Szczegóły tej wyprawy, zresztą jak cały plan
przygotowań reprezentacji do eliminacji mistrzostw świata w Argentynie, zna-
łem wyjątkowo dobrze, lepiej niż każdy inny dziennikarz. Na prośbę wicepreze-
sa PZPN, Henryka Loski, selekcyjnera Jacka Gmocha i przy pełnym poparciu
red. Stefana Grzegorzycy, objąłem bowiem w prezydium Wydziału Szkolenia
funkcję społecznego sekretarza.

Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że moja rola w tym ważkim pionie ograniczała się do przygotowania zebrań, pisania protokołów i oficjalnych wystąpień na konferencjach prasowych. Były mi bliskie sprawy reprezentacji. Zakres moich obowiązków był dość szeroki, ambitny i – co ważne – mnie w pełni satysfakcjonujący. W PZPN-ie, a stało się to głównie za sprawą Jacka Gmocha, nie było wtedy etatowego kierownika wyszkolenia. Społecznie funkcję tę – z odpowiednim podziałem zadań i kompetencji – sprawowały teraz dwie osoby mgr Tadeusz Foryś i... ja. W towarzystwie Ryszarda Koncewicza, Ryszarda Kuleszy, Jacka Gmocha, Mariana Bednarczyka, Wojciecha Skoczka i oczywiście Tadeusza Forysia i Henryka Loski pracę tę traktowałem jako wyróżnienie i nobilitację w środowisku. Nie byłem „zielony” w sprawach organizacji, szkolenia i selekcji, ale teraz mogłem to taniej „kupić” i drożej „sprzedać”. Byłem wewnątrz sztabu **„Jedziemy do Argentyny”**.

Sprawy reprezentacji, pilotowane przez sekcję Jacka Gmocha i jego zaufanych – Wojciecha Skoczka, Wiesława Grabowskiego i Macieja Górzyńskiego – powoli, ale systematycznie urastały do rangi „państwa w państwie”. Patrzyliśmy na to z niepokojem. Najbardziej bolało to trenera Koncewicza. Miał żal głównie do wiceprezesa Henryka Loski, że – to cytat z protokołu prezydium Wydziału – „w nadmiernym stopniu skupia uwagę na problemach pierwszej reprezentacji, w pewnym stopniu dublując nawet zadania jej kierownika. A przecież na drużynie narodowej nie zaczyna się i nie kończy polskie piłkarstwo. Konieczne jest szersze spojrzenie na sprawy krajowego futbolu. Sekcja reprezentacji i tak jest rozbudowana do rozmiarów w przeszłości niespotykanych. Tymczasem i tam jest spory bałagan. Bernard Blaut doniósł, że zginęła mu cała dokumentacja „banku informacji”. Buhl ma przeprowadzić dochodzenie.”

Mnie też nie za bardzo się to podobało, bo rzeczywiście zaniedbywano sporo innych obowiązków: trenerskich, młodzieżowych, lekarskich i piłkarstwa z niż-

szych klas. Zwłaszcza Okręgowe Związki Piłki Nożnej wymagały pomocnej ręki PZPN. Jakiś dobry duszek podpowiadał, że – poza sekretarzowaniem w wydziale – powinienem zrobić coś jeszcze wyłącznie na własny rachunek. Wciąż żarzyło się we mnie romantyczne mierzenie sił na zamiary. Z działaczami przynoszonymi w teczkach do PZPN-u, głównie z ruchu młodzieżowego i pionu MSW nie miałem jednak szans. Już raz przegrałem szansę kierowania sekcją młodzieżową. Na szczęście Wiesław Motoczyński, na początku lat siedemdziesiątych też odsunięty w centrali od kierowania pracą z młodzieżą, wrócił do korzeni – objął funkcję wiceprezesa do spraw szkoleniowo-sportowych w Warszawskim OZPN. Zapropował mi przejęcie w stolicy pieczy właśnie nad komórką młodzieżową. Przyjacielowi się nie odmawia. Zapytałem jednak:

- Jaki jest cel tej nominacji? Doraźny czy długofalowy?...
- Jedno i drugie! – usłyszałem stanowczą odpowiedź.

O mojej roli „długofalowej” w WOZPN będzie jeszcze okazja pomówić w późniejszych zeznaniach „świadka koronnego”, tu ograniczę się do realizacji „celu doraźnego”. Warszawski OZPN w ciągu minionego dwudziestolecia (1957 – 1976) ani razu nie zdobył Pucharu Michałowicza. W pierwszej fazie bieżących rozgrywek też nie za bardzo wiodło się trenerom Waldemarowi Obrębskiemu i Witoldowi Stasiukowi. Ambicją obu była walka o tytuł, ale cel mocno się oddalił. Reprezentacja juniorów Warszawy wlokła się w ogonie.

Postanowiłem odnaleźć utracony czas. O pomoc poprosiłem szkoleniowców z dwóch zupełnie innych światów – Tadeusza Forysia, wtedy już starszego pana, emeryta, ale z dużym klubowym i reprezentacyjnym dorobkiem, twórcę głośnego w 1957 roku zwycięstwa „biało-czerwonych” nad ZSRR w Chorzowie i jeszcze zupełnie zielonego w sprawach trenerskich, jednak niesamowicie ambitnego – Mieczysława Broniszewskiego. Trafiłem w „dziesiątkę”, co wcześniej zdarzało mi się tylko w grach zręcznościowych i w zagrywkach przy stole bilar-

dowym. Teraz bogini fortuna wzięła mnie pod swoje opiekuńcze skrzydła również w rozgrywkach o Puchar Michałowicza.

Sukcesem była już forma okazanej pomocy ze strony Forysia i Broniszewskiego – całkowicie bezinteresowna, społeczna. Piłkarska młodzież Warszawy w pełni to doceniła. W stylu dotychczas niespotykanym wygrała wszystkie pozostałe mecze eliminacyjne i dojrzała do rozgrywki finałowej. Tu „fachowcy” z różnych okręgów, w tym również przedstawiciele Sekcji Młodzieżowej PZPN, zagięli na mnie parol. „Proroczo” stawiali w tej decydującej potyczce na reprezentację Wrocławia (występowało w niej kilku reprezentantów Polski juniorów), poza tym przed grą, w czasie meczu i podczas przerwy „puczali” rywali, jak pokonać „dzieci Warszawy”.

Robili to nieudolnie. Do reprezentantów stolicy mocniej przemawiały błyskotliwe uwagi magistra Forysia, ojcowskie profesora Motoczyńskiego i... moje, jak zwykle pełne patosu, niż do chłopców z Dolnego Śląska głosy nieporadnych doradców z całej Polski. Warszawa na Stadionie Olimpijskim we Wrocławiu w cuglach wygrawszy najpierw eliminacje grupowe, w finale pokonała gospodarzy 2:0. Zaraz potem reprezentacja Warszawy wywalczyła też Młodzieżowy Superpuchar w potyczce z mistrzem Polski juniorów Pogonią Szczecin. Rok później juniorzy Polonii zdobyli klubowe mistrzostwo Polski. Miałem dobrą rękę...

Zdobywałem nowe doświadczenia. Jacek Gmoch, jeśli idzie o politykę personalną, dotrzymywał słowa. Kadra narodowa była dla niego pojęciem płynnym, mocno akcentował, że droga do reprezentacji jest otwarta dla wszystkich ligowców. Wszakże pod warunkiem: muszą być w danym momencie najlepsi! Aktualnej wiedzy na ten temat miały dostarczać bardzo często organizowane konsultacje i... testy wydolnościowe. Nie wszystkim zawodnikom się to podobało, ale Jacek był konsekwentny i stanowczy, nawet krnąbrnych medalistów z Olimpiady i mistrzostw świata potrafił przywołać do porządku.